

### **Krótki kurs historii polskiej wsi**

Ilekcroć mowa o tym, jak to polska wieś (zacofana, z biednymi i niewykształconymi mieszkańcami oraz słabym rolnictwem) waży negatywnie na szansach rozwojowych całego kraju, przypomina mi się jedno zdjęcie z oglądanej kiedyś wystawy fotografii, którą opatrzone tytułem „Taka była Polska”. Zdjęcie autorstwa J. Gila przedstawiało stare auto „Warszawa” ciągnięte po błotnistej drodze przez konia. Woźnica przysiadł na masce samochodu, na dalszym planie kilka chałup i tak w rodzimych realiach wyglądało współistnienie tradycji z nowoczesnością. Uchwycony obrazek wydaje się trafną metaforą sytuacji Polski, kraju w którym kolejne próby modernizacji dają, zdaniem badaczy, efekty w najlepszym razie połowiczne, a określenie „pałubiczność” oznaczające właśnie zdolność do tworzenia co najwyżej niekształtnych hybryd, przyjęło się w literaturze socjologicznej (używa go np. prof. Podgórecki). Taka interpretacja nie wyczerpuje jednak semantycznego potencjału uwiecznionej scenki rodzajowej. Na pewno można ją też rozumieć jako przykład kondycji polskiej wsi, niezdolnej wyrwać się z zakłętą kręgu biedy i zacofania. Czy jednak nie symbolizuje ona również (i to w sposób bardzo

wymowny, a co więcej - odwracający potoczne mniemania) relacji między polską wsią a resztą kraju? Wieś dłużnikiem czy wierzycielem całego społeczeństwa? Wieś balastem czy motorem postępu? Takie pytania nie bezpodstawnie można i trzeba sobie zadawać i to tym częściej, im bardziej kategorycznie w debacie publicznej formułowane są jednostronne, krzywdzące i oparte na nieprawdziwych przesłankach twierdzenia.

Chociaż i w przeszłości i obecnie trudno byłoby znaleźć w Polsce kogoś, kto otwarcie powoływałby się na teorie fizjokratów, nie sposób zaprzeczyć, że wieś zawsze traktowana była jak cudownie odnawiający się zasób sił, wartości i dóbr. Za czasów pańszczyzny szacowane przez historyków obciążenia (i to tylko męskiej części poddanych) wynosiły 65% i uznaje się to za dolne granice stopy wyzysku. Pracując na swoim chłop musiał zapewnić swojej rodzinie i gospodarstwu przynajmniej reprodukcję prostą, a więc - mówiąc po ludzku - dbać o to, by nikt nie umarł z głodu a ziemia nie przeszła w ręce pana. Pracując zaś „na pańskim” utrzymywał wszystkich pozostałych a ponadto dostarczał środków do funkcjonowania unowocześniającego się wówczas państwa. Zjawisko tego rodzaju, wcale nierzadkie w naszej historii, badacze nazywają „paradoksem modernizacyjnym” (J. Kochanowicz), gdyż finansowanie rozwoju kraju dokonywało się kosztem

utrzymywania przeważającej części ludności w stanie zacofania, a z czasem coraz większej nędzy. Nie trzeba tu dodawać, że sami chłopcy nie znajdowali upodobania w kultywowaniu prostego, pełnego wyrzeczeń życia, ale - nie mieli wyjścia.

Również uwłaszczenie oznaczało dla nich często wywłaszczenie z posiadanej dotąd ziemi („rugi”) i przesuwanie na gorsze gospodarstwa. Realizowana w Polsce „pruska droga do kapitalizmu”, jak nazywają ten okres badacze, odbywała się bowiem przy odgórnym sterowaniu przez władze procesami zachodzącymi w rolnictwie tak, by chronione były przede wszystkim interesy dużych posiadaczy.

Po pierwszej wojnie światowej niepodległa już Polska konsekwentnie prowadziła politykę uprzemysłowienia „drogą prostego przesuwania ku przemysłowi dochodu społecznego rolnictwa”, jak to trafnie ujął J. Poniowski, autor pracy o przeludnieniu wsi międzywojennej, które według jego oceny - przypomnijmy tę szokującą wówczas a i dzisiaj liczbę - sięgało niemal dziewięciu milionów „zbędnych”.

Bezpośrednio po drugiej wojnie światowej (zgodnie z założeniami ideologicznymi i potrzebami wyznaczonymi przez obrany/narzucony model rozwoju, określany jako modernizacja częściowa, niedourbanizacja i niezrównoważona industrializacja) było podobnie: rolnictwo uznano za oczywiste i łatwo dostępne źródło akumulacji pierwotnej i skutecznie

„drenowano” z kapitału ludzkiego, materialnego i finansowego. Uciekano się do zaniżania cen produktów rolnych i żywności, wprowadzano dostawy obowiązkowe, podatki i obciążenia pośrednie, nie inwestowano w rolnictwo indywidualne. Wyliczane przez ekonomistów obciążenia wynosiły wówczas około 1/3 produkcji czystej rolnictwa i to właśnie był wymierny wkład wsi w forsowany w tym okresie rozwój gospodarczy kraju - na podstawie badań nad tzw. przepływami gałęziowymi konkluduje A. Woś. Tego rodzaju obciążenia stanowiły, mówiąc innymi słowami, wkład akumulacyjny, ale podkreślić należy także znaczenie wkładu migracyjnego wsi, czyli np. intensywne początkowo migracje definitywne do miast, a następnie zjawisko dwuzawodowości (migracje wahadłowe). Mieszkańcy wsi nazywani chłopo-robotnikami w czynie społecznym gorliwie budowali drogi, aby następnie po tych drogach przemieszczać do miast swoją siłę roboczą. Korzyści (i straty) były ewidentne. Odnawiając swój potencjał produkcyjny na wsi, użytkownicy go w mieście, w niczym nie obciążając słabo rozwiniętej infrastruktury urbanizacyjnej. Statystyka wykazywała wzrost produkcji w sektorach pozarolniczych, ale to wieś ponosiła koszty. Przez wiele lat traktowano tę sytuację jako idealne rozwiązanie. Zachwycano się zwłaszcza tym, że chłopo-robotnicy sami produkują dla siebie żywność, sami ją sobie dostarczają i sami ją zjadają, nie obciążając gospodarki

uspołecznionej kosztami transportu, przechowywania i dystrybucji tego towaru.

Jednym ze szczególnie perfidnych sposobów deprecjonowania znaczenia wsi w okresie PRL-u były ewidentne manipulacje statystyczne, które systematycznie zafałszowały udział rolnictwa w wytwarzaniu dochodu narodowego, obniżały rzeczywisty poziom wydajności, a następnie przekładały się na kolejne decyzje nieinwestowania w tak nieproduktywną część gospodarki. Stosowane metody obliczania dochodu narodowego i systemy wyceny poszczególnych jego elementów powodowały więc zaniżanie wartości produkcji rolnictwa zaś ustalone ceny zawsze preferowały rozwój działów pozarolniczych, zawyżając wkład przemysłu i pomniejszając udział rolnictwa. W efekcie coraz gorsza kondycja rolnictwa uzasadniała twierdzenia o jego kompromitująco niskiej wydajności i piętnowanie chłopów jako skrajnie nieudolnej i niewydolnej grupy, żyjącej właściwie na koszt społeczeństwa.

W przededniu wejścia Polski do Unii Europejskiej ten sam argument należał do najczęściej bodaj przywoływanych. Ubolewano, że polskie rolnictwo zatrudniając aż 27% ogółu pracujących wytwarza zaledwie 3% PKB. Tymczasem, tak jak przed rokiem '89 tak i wówczas faktycznie z rolnictwa żyło w Polsce dużo mniej osób (w 1988 r. - 10,6%, a w 2002 r. - tylko

4,3% spośród badanych w Powszechnym Spisie Rolnym wymieniało pracę w rolnictwie jako jedyne źródło utrzymania). W konsekwencji, rolnictwo musiało wytwarzać dużo więcej niż owe 3% PKB, zwłaszcza jeśli doliczyć wartość produktów przeznaczonych na samozaopatrzenie i spożywanych przez rodziny posiadające choćby najmniejsze gospodarstwo. Skala prosumpcji jest trudna do przeszacowania, tymczasem bardzo rzadko uwzględnia się to zjawisko mówiąc o kondycji polskiego rolnictwa.

A potem? Czy tzw. wolny rynek rzeczywiście sprzyjał wszystkim sektorom w tym samym stopniu i nie deprecjonował żadnego z nich? Gdyby tak było, nie rozwinęłyby się do monstrualnych rozmiarów polityka rolna Unii. W przededniu akcesji Polski do struktur unijnych ekonomiści szacowali, iż skala transferu wartości z rolnictwa do innych działów, a więc rozmiary nieujawnianych w statystykach przepływów międzygałęziowych były nawet większe niż kiedykolwiek. Już niedługo specjaliści powinni spróbować bezstronnie i rzetelnie ocenić, ile polskie rolnictwo czerpie z mocno przereklamowanych, jak się zdaje, dopłat, a ile faktycznie „oddaje” pod różnymi postaciami innym sektorom i budżetowi. Z całą pewnością wyniki takich obliczeń nie zmienią jednoznacznego wniosku, który rysuje się na zakończenie tych rozważań.

Oto zdaje się nie ulegać wątpliwości, że polska wieś nigdy nie była i także obecnie nie jest dłużnikiem społeczeństwa, lecz raczej jego wierzycielem. Nie była też i nie jest balastem przemian, gdyż to właśnie dzięki wsi wszelkie przemiany mogły być podejmowane, ona je finansowała, często ogromnym kosztem własnym. Oczywiście, za skutki częściowych, niefortunnych reform, całego szeregu owych „paradoksalnych modernizacji” bynajmniej nie wieś ponosi odpowiedzialność, choć ich konsekwencje, owszem, najbardziej dotkliwie dotykały i dotykają właśnie środowiska wiejskie. Dzisiejsze zacofanie polskiego rolnictwa, skala biedy na obszarach wiejskich, poziom bezrobocia to nie „wina” samej wsi, nie dowód jakiejś genetycznej skazy jej mieszkańców, lecz są to wszystko efekty rabunkowej gospodarki od stuleci uprawianej przez kolejne ekipy rządzących.

Dlatego, kiedy przypominam sobie przywołaną na początku fotografię z wystawy „Taka była Polska”, dochodzę do wniosku, że mówi ona dużo więcej niż mogłoby się wydawać a nawet zgoła coś innego, niż sugerują najprostsze skojarzenia. Otóż bardzo trafnie wydobywa ona pewną fatalną, historyczną prawidłowość naszych losów: jeżeli w ogóle udaje nam się posuwać do przodu, to odbywa się to dzięki zwykłej chłopskiej chabcie, która musi borykać się ze skutkami niefortunnych

pomysłów polskich elit na zakup licencji rozwojowych raz ze  
Wschodu, a raz z Zachodu.